

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu, vol. 3

No8

JACEK DEHNEL

JACEK DEHNEL

ĆWIARTKA PAPIERU

(HISTORIA PRAWDZIWA Z ROKU 1934)

– Tylko nie chcę wiedzieć – mówiła lekko łamiącym się głosem – wiesz, nie chcę wiedzieć kiedy. Tak rób, żebyś nie wiedziała. A on tylko kiwał głową i pomrukiwał, niskim pomrukiwał tonem, tonem uspokajającym, tonem, który znaczył: „Nic się nie martw, wszystko będzie, jak chcesz, nic się nie bój”. Pomrukiwał tak, jak porozumiewają się ze sobą zwierzęta, jak jedno zwierzę w środku nocy zapewnia drugie, że ujdą pogoni, że jakoś się wykaraskają.

Za Plantami Dietlowskimi weszli w Augustiańską. Prowadził ją pod ramię, trzymając mocno, jakby się bał, że w ostatniej chwili odwróci się i ucieknie; prawie słyszał w głowie ten tupot. Miała na sobie jeszcze zimowy płaszcz, bo wieczory chłodne, kwiecień plecień – i przez ten płaszcz zimowy, porządny wciąż, ale bardzo już wytarty, czuł, jak dygotała. Potknęła się o nierówny bruk, podtrzymał ją, przystanąli na chwilę. Latarnia rzuciła cytrynowe światło na liszajowatą ścianę kamienicy.

– Obcas? Chciałabyś gdzie przysiąść, Ziutuchna?

– Nie, Józiu, już nic. Już nic – usta przez chwilę wykrzywiły się jej w podkówkę, światła było dość, by to zauważył. Ale zebrała się w sobie.

Dłonią w brązowej rękawiczce, o tej porze czarnej, jak prawie wszystko, przygładziła kosmyk włosów, wystający spod rondka kape-lusza. Nawet teraz – poczuł skurcz serca – miała w sobie coś zalotnego, coś, co jeszcze nie pękło, nie zostało rozbite, co rwało się do szczęścia, czymkolwiek by ono miało być w ich sytuacji.

– A pamiętasz, Ziutuchna, jak jeździliśmy nad strugę?

Ruszyli, ociągając się. Bo jednak.

– Co bym miała nie pamiętać?

– I jak ten grubas wpadł w trzciny? Jak miał na głowie zawiązaną chusteczkę?

– W cztery rogi – uśmiechnęła się; to znaczy usłyszał w jej głosie, że się uśmiechnęła, bo tu było już ciemniej i niczego nie było widać.

– W cztery rogi, właśnie. Aleśmy się śmiali.

Urwał, jakby powiedział żart nie w porę. Przez chwilę szli Augustiańską w milczeniu. A potem znów się odezwał:

– Nic nie poczujesz, nic nie będziesz wiedziała, tylko sobie nad Wisłą siądziemy, porozmawiamy, przyśniesz może...

Ramię w zimowym płaszczyku naprężyło się, stężało.

– Tak myślisz? Że mogłabym przysnąć?

– To będziemy sobie rozmawiać, na księżyc patrzeć, na wodę, jak w niej migoce. Możemy tak siedzieć i siedzieć, ile zechcesz. Jeszcze północy nie ma nawet, dopiero jedenasta...

Cała w tym wygoda, że był leworęczny – myślał sobie rano, potem po południu, zresztą wiele już razy, kiedy to odtwarzał w głowie, jak film w kinematografie – i teraz, kiedy minęli dzwonnice kościoła i róg ze Skaleczną, sięgnął do kieszeni właśnie lewą, wolną ręką, bezgłośnie, i pod samym słupem latarni strzelił Ziutuchnie w skroń.

Wszystko to stało się tak szybko, że nawet się do niego nie odwróciła, tylko padła na bruk. Jak duży tobolek z różnymi gratami w środku.

Zatoczył się jeszcze parę kroków przed siebie, gdzieś po drugiej stronie ulicy wyskoczyli – widział to kątem oka – dwaj wyrostkowie, ale nie zdążyli do niego dobiec.

Gdyby to, co w Józefie Maciaszku, zredukowanym urzędniku Polskich Kolei Państwowych, było życiem, zostało jeszcze na miejscu przez kwadrans, widziałby, co działo się dalej – choć widziałby słabo, bo Augustiańska tutaj ciemnawa, a ta akurat latarnia błada.

W dole dwa ciała nieruchome, matowe, w ciemnych, zimowych płaszczach, leżące na kocich łbach, starych, wyślizganych, błyszczących po wcześniejszej mżawce jak dżety. A wyżej dwa ciała ruchome, gestykujące jak marionetki, przesadnie, wymachujące długimi, cienkimi ramionami, stawiające dziwne kroki – żeby nie wdepnąć w krew, buchającą z dwóch skroni. Krzyki, trzaski okien, otwieranych szeroko na noc kwietniową, czarną i wysoką, zapowiadającą nadciągające fale pełnej wiosny; nawoływania, trucht w bocznej uliczce, błyskawicznie rosnący tłumek, a potem pogotowie, policja, wszystko, co zawsze w takich wypadkach.

Widziałby, jak mundurowi odgradzają gapiów, jak prowadzą na bok wyrostków, zadają im pytania, notują coś pośpiesznie. Jeden machinalnie bawi się plecionym sznurkiem od policyjnego gwizdka. Z kamienic

wypływają kolejni ludzie, nad tymi trupami nerwowość, ale i jakaś ekscytacja, piknik prawie. Bo przecież raptem tydzień po Wielkanocy, tydzień po Pesach, wszyscy ciut lepiej odżywieni, energiczniejsi. Wiosnę już czują. Stara, rozczochrana, w pikowanym szlafroku zaczyna każdego po kolei, pokazuje na swoje okna, że Augustiańska 22, że to jej dom, proszę, tu, ona wszystko widziała, ona opowie, ona wie najlepiej. Klnie się, klepiąc chudą dłońią pikowane wyłogi. Wyrostkowie nadal zajęci, więc to ona klaruje najpierw jednemu dziennikarzowi, potem drugiemu.

Jakiś dziesięciolatek, który musiał wysmyrgnąć się z łóżka, pyta drugiego, czy ta krew to jeszcze płynie, czy już krzepnie.

Któryś z policjantów schyla się nad ciałem mężczyzny, poklepuje go, prawie czule, jakby znalazł po latach kolegę z okopów; potem jednym ruchem odwija połę płaszcza i z tylnej kieszeni spodni wyciąga portfel. Żółty, nawet po ciemku widać, że żółty. Przegląda jakieś papiery, niesie je dowódcy. Dowódca tymczasem przegląda torebkę kobiety – i przez chwilę obaj wyglądają jak doliniarze, którzy dobrali się do łupu. Młodszy wyciąga latarkę i świeci, starszy grzebie, wyjmując złożoną kartkę, grzebie jeszcze i powoli wyciąga coś, co w świetle latarki wydaje się kosztowną kolia. Ale jest tylko tanim, odpustowym różańcem.

Dochodzi północ; ci, do których to należy, zabierają ciała, inni – papiery, będą pisać protokoły na posterunku. Z bramy kamienicy przy Augustiańskiej 22 wychodzi stróż z wiadrem, krzyczy: „Odsuńcie się, ludzie”, i polewa krew szerokimi chlustami wody.

– No już – pokrzykuje – już, nie ma tu co oglądać.

Ale jeszcze rano będą tu przychodzić i wysłuchiwać starej – tej, co nocą dreptała w pikowanym szlafroku, a teraz już w najlepszym, odświętnym stroju, który miała naszykowany do trumny – chudzi uczniowie z chederu, inne okoliczne staruszki, całe delegacje chałciarzy, przystających nad resztkami zmytych plam i medytujących nad czymś w ciszy, dzieciaki aż z Kleparza, które dowiedziały się, że wczoraj w nocy na Augustiańskiej leżały dwa trupy.

*

A wszystko przez ten Nowy Sącz. Że spakowali wszystko, pojechali, zapłacili pożyczonymi za dowieszenie furmanką tego prawie-że-niczego, co mieli. Bo posada. Bo tam jakieś życie.

– Zobacz – mówił jej w wagonie trzeciej klasy – góral za chlebem do Krakowa, a my z Krakowa za chlebem do górali. Nie śmiesznie?

I oczy mu się śmiały, i jej też, bo jednak posada.

Nie że od razu na kolei, jak kiedyś, żadne tam wielkie apanaże, ale czasy takie, że nikt nie wybrzydza, bierze się, co jest. Żeby tylko ten pokój nająć, umeblowany jak trzeba, u siebie być, a nie kątem u jego kuzyna.

– Znowu mi przyszła robić wymówki – mówiła co jakiś czas Józia. Nie płaczkliwie, żadnego mękolenia, tylko tak, spokojnym głosem, żeby wiedział. Choć i bez tego przecież wiedział.

Czasem szedł za tym, chwytął się tego; podnosił głos, że co to oni sobie wyobrażają.

– Zgrywają wielkich państwa, bo mają dwa pokoje i służbówkę, a przecież mało brakowało, że on by wyleciał z pracy, ja bym został. Żadna w tym jego zasługa, tak trafiło. Mogło trafić inaczej.

– Mogło – odpowiadała z tym samym spokojem.

– Służbówkę mają, a na służącą i tak ich nie stać. Powinni być wdzięczni, że w tej norze zgodziłaś się mieszkać i za to im płacisz. Wdzięczni.

– Nie płacę, tylko za służącą robię.

– Na jedno wychodzi.

A czasem tylko kręcił głową. I tak siedzieli.

Józia mówiła „ona” o żonie jego kuzyna. On mówił „ona” o swojej żonie.

– Ona znowu mi dogaduje.

– Że co?

– Żebym wrócił. Że jej ślubowałem przed Panem Bogiem. Że niedojda jestem i takie tam. I znowu żebym wrócił.

JACEK DEHNEL

– Józieczku...

– No nawet sobie nic nie myśl – wzruszał ramionami – przecież wiesz, że ty kochana, ty jedyna.

Na „jedyną” z kolei ona wzruszała ramionami, bo wiedzieli oboje, że jedyna nie była, bo tamta jednak ślubna. I tak siedzieli. Bo oprócz siedzenia niewiele było do roboty: wyjść do miasta, tu poszukać zajęcia, tam poszukać, pocałować jedną klamkę, drugą, trzecią, wysłuchać czyichś utyskiwań, nieciekawych zupełnie spraw obcych ludzi, ale kiedy jest się w potrzebie, to każdy może gadać i gadać, a przecież mu się nie przerwie. Potem ona porobiła, co musiała, u jego kuzyna, on wracał do domu, na Podgórze, i każde wysłuchiwało swojej „onej”.

Ale teraz był Nowy Sącz i posada, i jechali tam przez skute grudniem pola, upstrzone gawronami jak płatkami sadzy z lokomotywy; przez ostatnie dni powtarzali sobie „Nowy Sącz” za każdym razem, kiedy byli przybici, jak magiczne zaklęcie, i proszę – wszystko się ziszcilo.

A potem odiściło się z powrotem – i posławszy rzeczy wozem, znów za pożyczone, bo i skąd indziej, wracali do Krakowa tą samą drogą, ona na Krowoderską, on na Podgórze, do zimowego miasta, tym zimniejszego, kiedy każdą bryłę węgla ogląda się na dziesiątą stronę, zanim się ją wrzuci do pieca.

Nowy Sącz nie był pierwszy, tyle tych posad czy nadziei na posady było wcześniej, tyle zabiegania, tyle wysyłania liścików, prośnienia uniżonego. A potem zawsze to samo: właściciele firm wiecznie z muchami w nosie, jakieś układziki, spiski, ktoś kopiący pod nim dołki, bo chciałyby jego stanowisko dla brata, dla narzeczonej, dla syna; całe misterne dyplomatyczne wojny za biurkami, przy bibularzach, liczydłach, żaluzjowych szafkach na dokumenty. I któregoś dnia po prostu mu dziękowano. Pół biedy, jeśli wcześniej nie dał komuś łapówki za załatwienie posady, bo zdarzało się, że więcej zapłacił, niż zdołał zarobić.

To była droga krzyżowa Józefa Maciaszka, zredukowanego urzędnika kolejowego: ze stacjami w ciasnych kancelariach,

w zadymionych gabinetach, w korytarzach pod drzwiami ważnej figury. Przyjmowanie w milczeniu chamskich uwag kogoś młodszego o dekadę, kto miał to szczęście, że nie bał się pracy stracić. Wysłuchiwanie tyrad szefów. Patrzenie na eleganckiego bubka, który wyperfumowany wychodzi z dużego gabinetu, kiedy chce, i idzie na obiad do restauracji, a potem przeliczanie tego obiadu na różne rzeczy, których nie mógł kupić. Józefa Banasikówna też miała swoją drogę krzyżową: u tych państwa, u tamtych, u rejenta, który jej wciskał paluchy pod spódnicę, kiedy prała w balii, u wdowy, która ani razu nie dała jej choćby grosza koszykowego. Niby stara, niby na wpół ślepa, a wszystko musiało się zgadzać w szczegółach, bo gotowa była w domu jabłka z placu ważyć, żeby sprawdzić, czy jej nie oszukano. Za to jak szła spać, to szła spać – i wtedy Józinek mógł się zakraść po cichu i spędzić noc w służbówce. Ale potem wdowie się zmarło i tyle było tego spędzania.

Jeszcze i później mieli gdzie się spotykać w cztery oczy; czasem coś udało się uszczknąć z pensji i wynajął pokój na godziny: albo gdzieś w okolicach dworca, w hotelu u numerowego, który brał w łapę i wpuszczał po kryjomu do wolnych sypialni, albo – kiedy był akurat bez stałej posady – u baby niedaleko od Kleparza, w niskiej oficynie. Bo tam najtaniej. I mieli tę godzinę – godzinę dokładnie, jak nie, to baba stawała w progu i żądała za kolejną – dla siebie, ukryci za przepierzeniem, na skrzypiącym łóżku. Ale mieli.

Potem przydarzyła się ciąża, ona wyleciała ze służby, jako ta z brzuchem, zresztą coraz słabsza, on uprosił kuzyna i jakoś tak to było, pomalutku, aż do rozwiązania. Rano wychodzili z domu, żona do sklepu, a on do pracy albo – częściej – do starania się o pracę, kupował coś do jedzenia, niósł Józki, posiedzieli w służbówce, skrępowani, wracał na noc na Podgórze do żony, gdzie można było w powietrzu siekierę zawieść, taka atmosfera, kładł się spać, i kolejny dzień. Kiedy się urodziło, to posłali na wieś. Dodatkowy koszt, wiadomo, ale przecież nie było go jak chować, bo i gdzie?

I wtedy to się zaczęło. Nieśmiało, od powtarzania: „Teraz to zęby w ścianę, chyba się zabić”. Najpierw: „Ech, co ty, nawet tak nie mów”, później coraz bardziej potakiwanie, choć jeszcze tak nie na serio. Bo dalej szukali, próbowali, przy dużym święcie brał ją jeszcze do kawiarni, na jedną kawę, długo piłą, przez godzinę, dwie nawet. Ale któregoś dnia, bezwiednie niemal, z biurka w tamtym domu po kryjomu zabrał pistolet, włożył do teczki, zawinięty w szmatę, i – równie potajemnie – przyniósł do służbówki u kuzynostwa. Stał w przedpokoju, z kuzynem rozmawiał o tym, o tamtym, a w rękę miał teczkę, w teczce pistolet i tylko o nim myślał, więc plół jakieś bzdury i kuzyn patrzył na niego bykiem, aż w końcu machnął ręką i rzucił mu: „A idź już do tej swojej, bo doczekać się, widzę, nie możesz”.

Jeszcze przed tym Nowym Sączem byli zdecydowani. Grubo przed. Nie, że już, tylko że w ogóle. Że jak nie, jak im świat tak będzie dalej robić, to się od niego odwrócą, razem, bez żalu. Potem, kiedy przychodziła jakaś nadzieja, zapominali, nieraz na całe miesiące, chowali to jak rewolwer w sienniku, ale kiedy nadzieja odchodziła, wszystko wracało, a postanowienie już było, zupełnie gotowe. Pozostawały do ustalenia szczegóły. Kiedy było dobrze, planowali, jak sobie urządzą nowe mieszkanie i że dzieciaka ze wsi z powrotem sprowadzą, będą mieli rodzinę, nieważne, co „ona” sobie myśli o ślubowaniu albo co ta druga „ona” wygaduje. Kiedy było źle, czyli na ogół, planowali, gdzie by to zrobili, o jakiej porze dnia czy nocy, w jaki dokładnie sposób, co napiszą w liście.

– Ja tam, Józiu, to jej bym wybaczyła, ale tej twojej żonie to już nie.

– Nie można tak, nie można – głąskał ją po ramieniu, jakby głąskał dużego, chudego psa, troszkę za mocno, za prędko, jakby niecierpliwie – nie ma co sobie jeszcze grzechów dokładać.

– I czemu to tak, że ona ma dalej pracę, że chodzi do tego sklepu, sprzedaje te ubrania? Co to, gorszy jesteś, ja gorsza? Albo twój kuzyn? Czemu on ma pracę?

– Ćśśśś. Ćśś – posykiwał, trochę żeby ją uspokoić, a trochę żeby kuzyn nie usłyszał. – Ze światem będziesz się żegnać, z życiem całym, i o tym im chcesz pisać, że mają pracę?

Siedziała, przytupując nerwowo bucikiem.

– Nie wiem, co chcę, a czego nie chcę. Chyba nie wiem. Nie, tak tylko mówię, że nie wiem, a wiem przecież. Chcę, żeby ją zabołało. Nie ich nawet – machnęła w stronę reszty mieszkania – oni mi obojętni, ale żeby ta twoja... żeby ona popamiętała, żeby ją ubodło za to moje cierpienie, za to życie psie.

– I co, będziesz jej pisała – uśmiechnął się blado – o miłości, romantyczną epistołę ułożysz?

– Coś tam wymyślę – wyrwała się spod jego ramienia.

Ważne, że było już postanowione, że po Nowym Sączu nawet się nie wahali.

*

Usłyszała „wejść!” i nacisnęła klamkę; ale nie weszła, tylko chwilę stała, z ciężarem dłoni na chłodnym metalu.

– Wejść – usłyszała znowu. I wtedy dopiero uchyliła drzwi.

Policjant za biurkiem był młody, z odstającymi uszami, które nadały mu wygląd podwórkowego urwisa, i to nie z tych najbardziej rozgarniętych, przez co musiał bardziej jeszcze nadrabiać srogą miną.

Pokoik był mały, ciemnawy, z jednym tylko, wąskim okienkiem; widać, że to jedno z tych miejsc, gdzie upycha się byle kogo – młodego z odstającymi uszami na przykład, kogoś na samym dole, kogoś, kto nie może wskazać nikogo pod sobą w policyjnej hierarchii. Wszystkie ściany obstawione półkami, ale nie było w nich nic solidnego, nic, co może się kojarzyć z poważnym urzędem, ot, byle jak zbite. Dawno temu, bo już poszarzały, a przody półek, często widać używanych, były wyszlizgane rękoma policjantów, jakby ktoś w nie wtarł grafitowy proszek.

I wszędzie, od podłogi do sufitu, jakieś pudła i pudełeczka.

Policjant bez słowa wysunął dłoń.

Nie zrozumiała, więc, poirytowany, rzucił:

– Dokumenty.

Sięgnęła do torebki, zaplątała się małym palcem w uchwyt, wyplątała się, podała dowód.

– A, Maciaszek... Katarzyna... zaraz... i taki kwit powinien być na wydanie.

Patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, cały czas przecież jeszcze otumaniona w tych dniach, jakby ją ktoś owinął wojłokiem i tak kulał po mieście, wtaczał po schodach, przez drzwi urzędów, posterunków, kazał wypełniać papiery, podpisywać coś, zeznawać.

– Kwit – dodatkowo dosrożył minę – na wydanie rzeczy denata.

Sięgnęła znowu do torebki, tym razem na szczęście się nie zaplątała, wyjęła kwit, położyła na stole, wygładziła ręką, bo trochę się zmiął, i podała.

– A, to tamci z Augustiańskiej – spojrzał na nią – ... numer sprawy... – teraz zerknął z kolei w swoje rejestry – ... adres... Podgórze... tak... – otworzył następny rejestr, zamoczył pióro we wpuszczonym w blat biurka kałamarzu i coś tam sobie zanotował czy skreślił – ... sto dwadzieścia osiem.

Wstał zza biurka i chodził teraz po pokoiku, czy raczej: stanął na środku i obracał się, wodząc wzrokiem po wyslizganych półkach i potwarzając cały czas półgłosem:

– Sto dwadzieścia osiem... sto dwadzie...? Nie... sto dwadzieścia osiem... sto dwadzieścia osiem...

Mrużył oczy, jak to krótkowidz, i cała mina schodziła mu przy tym z twarzy jak zmyta farba.

– Tam – powiedziała.

Ale nie odwrócił się, więc powtórzyła:

– Tam – i wskazała mu niewielkie pudełko na regale stojącym przy samym okienku. Rzucił jej niechętnie spojrzenie, jakby zepsuła mu zabawę, ale jednak skinął głową na znak podziękowania. Nie był wysoki i żeby zdjąć pudełko, musiał lekko stanąć na palcach, co w jego pojęciu chyba nie licowało z honorem policyjnego munduru, więc przez chwilę próbował, postępując, sięgnął samymi opuszkami wyciągniętych dłoni, ale w końcu musiał zrezygnować i stanął na palcach, na króciuteńką chwilę, wstydliwie.

– Proszę. Tu pokwitować. Portfel denata, z podaną kwotą pieniężną znalezioną przez funkcjonariuszy, ubranie, buty. Rzeczy denatki, widzę, odbiera kto inny?

Nie odpowiedziała. Nie zrobiła też miny, nie przewróciła oczami, nie skrzywiła się, nic – zupełnie.

– Aha... bo tutaj jest adnotacja... tak, no więc w rzeczach denatki jest list, ale list jest adresowany przez oboje denatów do pani i jako taki również podlega... sto dwadzieścia dziewięć zapewne... – zerknął do rejestru, a potem na tę samą półkę, na której stały rzeczy po Józefie Maciaszku, zredukowanym urzędniku kolei państwowych. – W rzeczy samej, sto dwadzieścia dziewięć, Banasikówna Józefa. Proszę.

Podniósł wieko pudła, pogmerał w środku, po czym podał jej złożoną na pół ćwiartkę papieru.

– No proszę, proszę. Weźmie.

Ponaglona, wysunęła w końcu dłoń i chwyciła kartkę, niechętnie.

– Znajomość czytania posiadała?

– Posiadła – warknęła. Po czym przeleciała wzrokiem pismo, pismo Józka, oczywiście, i dwa podpisy, tak bliskie, że jak splecione. Nie zrozumiała, nie chciała zrozumieć, więc przeczytała raz jeszcze, aż się w niej zagotowało.

– Ta wywłoka... ten... ten... to się w głowie...

Policjant, który błyskawicznie stracił nią zainteresowanie, kiedy tylko zrobił, co do niego należało, i wydał rzeczy, podniósł głowę z zaciekawieniem.

– Widział kto taki tupet? – zamachała mu papierem przed nosem. – Słów brak, jak Bóg na niebie... Proszę, ja panu przeczytam, ja przeczytam...

Przez chwilę łąpała oddech, po czym zaczęła głosem, w którym gotowało się coś wrzącego i lepkiego:

– *Wyrażnem naszym życzeniem, by pogrzebem zajęła się p. Maciaszkowa, a na kosztą jego oddaję wszystkie swoje ruchomości i oszczędności. Wszystkie! A ile niby to jest te „wszystkie”?* Grosza nie miał przy duszy. Co ja mam sprzedać niby, te jej jakieś korale tanie? Kredens, co od ciotki z okazji ślubu dostał? Stół z kuchni?

Policjant nadal patrzył na nią bez słowa.

– Że ja teraz będę. Pogrzeb. Jemu, dobrze, wiadomo, jaki był, taki był, samobójca do tego i morderca nawet, bo przecież ją zabił, to jednak mąż, co mu przed Panem Bogiem ślubowałam. Ale jej? Jej mam pogrzeb robić? Może jeszcze w jednym grobie? I krzew różany nad grobem zasadzić?

On jednak, choć młody, takie już widywał rzeczy na tym posterunku, że zainteresowanie potrafił utrzymać tylko przez krótką chwilę; mógł ją wyprosić za drzwi, ale nie miał widać ochoty na sceny, więc po prostu spuścił wzrok i zaczął sobie coś pisać w rejestrze.

– Łajdak. Łajdaczka i łajdak, jedno warte drugiego.

Czuła, jak jej ciało paruje z wściekłości. Żeby się uspokoić, postanowiła zawinąć rzeczy; poprosiła uszatego o stare gazety, wyjęła z kieszeni motek papierowego sznurka i pakowała, sumiennie, jak co dzień w sklepie. Strzepnęła marynarkę, wygładziła fałdy na płaszczu, zerknęła nawet, czy bardzo poplamiony. Nie bardzo, ubłocony bardziej. I wtedy przyszło jej do głowy, że te pogrzeby pakuje, że pogrzeby

w rękach trzyma, że to wszystko pójdzie do Żyda na tandetę, i dalej, między ludzi, i że z tego te trumny będą, te świece, te kwiaty – i zaczęła składać niestarannie, szybciej, jakby biła się z sukniem i z butami, na złość, bo i tamci przecież po złości jej to pisali.

Zug, 8–15 VIII 2018

Józefa Banasikówna (lat 32) i Józef Maciaszek (lat 45) istnieli naprawdę i naprawdę popełnili samobójstwo w nocy z 9 na 10 kwietnia 1934 roku na chodniku przed Augustiańską 22. Prawdziwa jest też treść listu, który pozostawili. Autor tylko dodał dekoracje, trochę światła i dźwięku, a po-

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu, vol. 3

Literackie portrety miast lub dzielnic to nie tyle dokumenty, zdające sprawę z historii danego miejsca, ile bardziej teksty stwarzające klimat. Miejska fikcja pozwala lepiej zrozumieć przestrzeń, w której żyjemy, ale również daje szansę, by wymyślić ją na nowo. Zboczyć ze znanych opowieści, zabłądzić i obudzić się naprzeciwko budynku, którego wcześniej nie widzieliśmy.

Co XXI-wieczna literatura może powiedzieć o Kazimierzu? Jak go traktuje? Czy dzielnica Krakowa to główny bohater, zagubiona postać z drugiego planu czy raczej tło wydarzeń? Wymyśliliśmy O_KAZ, żeby móc o tym opowiedzieć. Do trzeciej edycji projektu zaprosiliśmy do współpracy Zośkę Papużankę, Jacka Dehnela, Mateusza Kołka i Artura Wabika oraz poprosiliśmy ich, by potraktowali nasze pytania jako bazę, punkt startowy.

Jacek Dehnel (ur. w 1980 w Gdańsku) – poeta, prozaik, tłumacz. Wydał m.in. osiem tomów poetyckich, przekłady (Larkin, James, Verdins, Fitzgerald, White), cztery powieści (*Lala*, *Saturn*, *Matka Makryna*, *Krivoklat*) i kilka tomów krótszych próz. Laureat m.in. Nagrody Kościelskich (2005) i Paszportu Polityki (2006), był pięciokrotnie nominowany do Nagrody Nike, trzykrotnie do Angelusa, raz do Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Prowadzi bloga www.tajnydetektyw.blogspot.com i portal z kolekcją starej fotografii www.awers-rewers.pl. Mieszka w Warszawie.

Festiwal Kultury Żydowskiej i kawiarnia Cheder powstały na krakowskim Kazimierzu, z inspiracji jego historią i kulturą. Bardziej niż świętem staramy się być procesem – procesem zmian w myśleniu i postrzeganiu żydowskiej kultury oraz zmian na samym Kazimierzu. Interesuje nas twórcza praca w dzielnicy i z dzielnicą, szczególnie że wydaje się ona dzisiaj nieco zagubiona i coraz mniej przyjazna mieszkańcom. O_KAZ to nasz nowy program literacki. Zapraszamy do lektury trzech opowiadań oraz na spotkanie z autorami.

Projekt jest
współfinansowany
ze środków Miasta
Krakowa.



Organizatorzy:



Patroni medialni:



ISBN 978-83-946664-9-1